

WIECZORY RODZINNE.



GORYLE.

— Chodźcie do mnie dzieci — mówiła ciocia Różia do Janka i Maryni, stając na progu swego pokoju.

Dzieci poskoczyły ku cioci, która zawsze zajęć je potrafiła ciekawem opowiadaniem.

Ciocia pokazała im rycinę przedstawiającą małpę na pół ukrytą w słomie.

— Wiecie jak się to zwierzę nazywa? — zapytała.

— Wiemy! Wiemy! — wołały; — to małpa.

— Bez wątpienia, moje dzieci. Lecz małpy bywają rozmaite. Wielkie, małe, czarne, bure, to też każda odmiana małpy posiada swoją własną nazwę. I tak: znamy orangutany, szympansy, goryle, pawiany, wyjce i t. d. Rycina którą wam pokazałam przedstawia właśnie goryla.

— Powiedz mi, droga ciociu — odezwała się Mania — czem różni się goryl od orangutana naprzykład.

— Zaraz ci to objaśnię. Orangutan ma sierść brunatną, małe uszy i niezmiernie długie ręce, goryl zaś ręce ma o wiele krótsze, za to uszy posiada wielkie, przytem pokrywa go sierść czarna lub popielata; wreszcie u orangutana widzimy wąskie nozdrza, u goryla zaś szerokie. Widzicie więc, że łatwo te małpy rozpoznać. Co do szympansa, od innych małp odróżniają go olbrzymie uszy. Żadna małpa tak wielkimi poszczycić się nie może.

— A gdzie żyją goryle, ciociu? — spytał Janek.

— W Afryce, w głębi gęstych lasów — odparła ciocia. — Niema jeszcze lat pięćdziesięciu od chwili, w której Europejczycy poraz pierwszy zabrali znajomość z gorylem.

— Dla czego, ciociu, ten goryl siedzi w słomie? — zagadnęła Mania.

— Bo jest przyzwyczajony do ciepła, w Afryce jest o wiele goręcej aniżeli w Europie, moje dziecko. To

też z wielką trudnością można u nas utrzymać te zwierzęta przy życiu.

— Małpy mają podobno wiele sprytu, ciociu Róziu? — mówił Janek.

— Tak jest w ogólności, lecz goryl stanowi wyjątek: ma bardzo mało inteligencji, całymi dniami siedzi nieruchomy w klatce z rękami na piersiach założonemi.

— Może on tęskni za ciepłą Afryką? — zauważyła Mania.

— Bardzo być może, bo i zwierzęta doznają nieraz uczucia tęsknoty — odparła ciocia.

— To też, ja już obiecałem w przeszłym roku cioci, że nigdy zwierząt więzić ani męczyć nie będę — rzekł Janek.

— A ja wiem, że obietnicy umiesz dotrzymywać — zakończyła ciocia.

Ciocia Różia.

Powiastrka prawdziwa o małej Mirosławce.

Chodź do domu, Mirosławko — wołała mama na małą córeczkę.

Miroszce nie chciało się wyjść z ogródka, więc powiedziała ze smutkiem:

Wolałabym być różyczką niż dziewczynką; stałabym cały dzień w klombie i niktby mię nie wołał.

— Jeżeli tak, to cię zamienię w różyczkę — odpowiedziała mama, i zaprowadziwszy Miroszkę w sam środek pięknego klombu, zostawiła ją.

Miroszka stała uradowana między kwiatkami i uśmiechała się do przechodzących, wołając: — Ja jestem różyczka! Patrzcie, patrzcie!

Wkrótce jednak naprzykrzyło się to dziewczynce, a przytem schowało się słońce, zawiął wiatr i ani się Miroszka spostrzegła, jak gęsty deszcz zaczął padać.

Ledwie pierwsze krople na nią spadły, uciekła z klombu i pobiegła do mateczki.

— Czego tu chcesz? — spytała jej mama z uśmiechem. — Dla czego nie stoisz w ogródku, w klombie? Przecież jesteś różyczką, a różyczki nie chodzą. Tylko Miroszka mogłaby przyjść do mamusi a ty jesteś kwiatkiem.

— Kiedy deszcz pada! — tłómaczyła się dziewczynka, spuszczać główkę.



— Moja kochanko, jeżeli chcesz być różyczką, musisz znajdować się w ogródku w czasie deszczu, podczas burzy, nie tylko wtedy gdy słońce świeci! Idź do ogródka, idź, tu jest miejsce tylko dla dziewczątek.

To powiedziawszy, mama ujęła córeczkę za rękę i prowadzić ją chciała ku drzewom.

— Ja jestem dziewczynką — wołała Miroszka z płaczem i prosiła mamy, żeby jej nie kazała wracać do ogródka na deszcz, bo jest zimno, i może sobie zniszczyć sukienkę.

— A widzisz córeczko, że każdemu jest najlepiej być tem, czem mu Pan Bóg być rozkazał — powiedziała mama. — Nie żądaj zatem nigdy tego, co jest niemożliwym, a oszczędzisz tem sobie wielu przykrości i zawodów. Nie chciej być różyczką, gdy jesteś panienką.

Miroszka odtąd nie chciała być nigdy różyczką ani czem innym, lecz posłuszna mamie biegła na każde jej zawołanie. A ilekroć deszcz padał, grzmiało i błyskało zawsze żałowała biednych różyczek, zmuszonych pozostać na dworze podczas niepogody.

— Jak to dobrze że jestem dziewczynką, nie kwiatkiem — myślała sobie wtedy — słusznie mówi mama, że kto jest zadowolony ze swego położenia, ten jest zawsze szczęśliwy.

ŻREBIEC.

„Idź precz” rzekł młody źrebiec do starego konia,
 „Usuń się, nie szpec sobą kwiecistego błonia.
 Nogi masz pokrzywione, wzrok twój zażawiony;
 A ja mam oko bystre, kark jak utoczony,
 Ty zaś brzydki i chudy, postać masz nikczemną,
 Gdzież tobie mierzyć się ze mną?”
 To mówiąc, bryknął źrebiec, kopytem wyrzucił,
 I do starego konia tyłem się odwrócił.
 Po chwili zaprzęgnięto obydwu do brony.
 Stary szedł, rażno ciągnął, pracy wzwyczajony;
 Gospodarz doń przemawiał łagodnie i głaskał;
 A źrebiec wierzgał, skakał, chciał bronę podrzucić;
 Gospodarz dał mu batem, by pracy przyuczyć.
 A sprowadziwszy z pola, kiedy wyprzągnął obu,
 Starego poprowadził do pełnego żłobu,
 Dał mu owsa i wody i świeżego siana,
 A źrebcowi dał batem. Stał biedak do rana
 Nic nie jedząc i dzwoniąc zębami przy żłobie

I tak myślał sobie:

„Nie uroda przynosi szacunek, dostatek,
 Lecz zasługa i praca — wytrwałość i statek”.
 I odtąd już się nie śmiał ze starego konia,
 Lecz z szacunkiem spoglądał, gdy wyszli na błonia.

Z. Morawska.

MARCÓWKA.

— Nieznośni, szkaradni jesteście — wołała Marcysia, krzywiąc się do płaczu. — Powiem mamie, że mi dokuczacie i przezywacie mnie ciągle — i obie rączki podniósłszy ku oczom, obcierała łzy, które obficie spływały

po jej rumianych policzkach, rozmazując kroplę atramentu, pozostała na średnim palcu po lekcyi pisania. — Tak, poskarżę się mamie; zobaczycie, co wam za to będzie. Cóż dziwnego, że się rozplakała, kiedy moje zabawki ruszacie bez pozwolenia.

Kazio i Józio wcale się tej groźby nie przestraszyli.

— Oj ty bekso — wołał Kazio — popatrz w zwierciadło, jak wyglądasz! Doskonale cię Józio nazwał: tyś nie Marcysia, ale prawdziwa Marcówka.

Wtem nauczyciel zawołał chłopców do lekcyi, a Marcysia zapomniawszy o swej obrazie, pobiegła do okna popatrzeć jak ślicznie słońce zaświeciło na rozpodzionem niebie.

— Marcysiu — rzekła mama, wchodząc do pokoju — posprzątaj zabawki swoje, włóż cieplejszą sukienkę i grube nowe trzewiki; tak ładnie podeszło przed domem, że za pół godziny, jak chłopcy skończą lekcyę gimnastyki, pójdziemy na spacer, ucieszyć się pogodą.

Marcysia uszczęśliwiona z obietnicy poszła zaraz ubrać się do wyjścia i nikt nie poznałby, widząc jej błyszczące oczy, śmiejącą się buzię, że to ta sama rozkapryszona panienka.

Z przykrością jednak przyznać musimy, że zmiany te następowały zbyt często i że za najmniejszą przeciwnością miłą, wesoła Marcysia zmieniała się nagle w skrzywioną, niezadowoloną i płacziwą.

Gdy już wszystko było gotowe, Marcysia przybiegła do swej mateczki z zapytaniem.

— Gdzie są bracia? Czy już zaraz pójdziemy?

— Spójrz córeczko w okno i osądź sama, czy teraz wyjść można.

Marcysia zdumiała, a twarzyczka jej spochmurniała.

— Mój Boże, cóż się to stało! Dopiero było tak ślicznie, a teraz śnieg z deszczem pada, błoto wszędzie. Obrzydliwy czas taki.

— Tak — rzekła z żalem mama. — W marcu taka zmienna bywa pogoda. Dopieroco słońce i ciepło, a za chwilę, jakby znów zima wracała.

— A to szkaradny ten marzec, niegodziwy marzec; chciałabym, żeby go nigdy nie było, kiedy taki zmienny.

— A widzisz, Marcysiu — zawołali bracia, którzy z za drzwi otwartych przysłuchiwali się tej rozmowie; widzisz, jak to niemiło mieć do czynienia z kimś zmienym i grymaśnym. Jak brzydko być marcem, lub marcówką.

Marzec nic swej brzydkiej naturze nie winien — rzekła mama — bo on nie ma woli, i jest tylko nazwą tej właśnie pory, przesilania się zimy z wiosną. Ale wielki wstyd kiedy człowiek, który może i powinien pracować nad sobą nie czyni tego i bez prawdziwej przyczyny zmienia bezustannie humor. To też radzę ci Marcysiu, zawczasu z tej szkaradnej wady się poprawić.

— O mamo, będę się starała — zawołała z zapalem dziewczynka. — Nie chcę, by ludzie do tak brzydkiej pory porównywać mnie mogli, ale też proszę, by mnie bracia nie przezywali więcej Marcówką, bo nią już nigdy nie będę.

Anna Z.

ODWAGA I ZUCHWAŁSTWO.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO M. P.

(Dalszy ciąg).

— Czy pan Campbell jest w domu?

— Nie, pół godziny temu wyszedł.

Umilkłem i zrobiło mi się, sam nie wiem dla czego, lżej na sercu. Powiedziałem więc spokojniejszym głosem.

— Nie wiecie kiedy wróci?

— Nie wiem. Niech lepiej panicze przyjdą po obiedzie.

Odwrociłem się żeby odejść i bardzo byłem zadowolony, żeśmy księdza w domu nie zastali; gdy Julek, który dotychczas nic nie mówił zapytał:

— Czy możecie mi powiedzieć dokąd pan Campbell poszedł?

— I owszem. Poszedł do szkoły,

— Tomku! — zawołał Julek chwytając mię za rękę — chodźmy prędko, bo możemy się spóźnić! I pociągnął mię za sobą.

Zbiegliśmy ze wzgórza i popędziliśmy do szkoły, przez łąkę, przez plac gimnastyczny i dziedziniec szkolny i wpadliśmy do klasy nie zatrzymując się ani na chwilę żeby odetchnąć, albo żeby się zastanowić co mamy powiedzieć proboszczowi.

Gdyśmy otworzyli drzwi, w szkole panowała najzupełniejsza cisza, chociaż wszyscy uczniowie byli już zebrani, a lekcye się jeszcze nie rozpoczęły.

Pan Campbell siedział na katedrze, a przed nim stał wysoki chłopak o bladej twarzy o czarnych błyszczących oczach i ręce zaciskał nerwowo; nauczyciel tymczasem zdejmował trzcinową laskę wiszącą nad kominikiem.

Nasze nagłe wejście zdziwiło wszystkich. Pan Campbell odwrócił głowę w naszą stronę, nauczyciel stanął trzymając laskę w ręku, a uczniowie siedzący w ławkach zaczęli coś szeptać między sobą. Jeden tylko bladej twarzy chłopiec nie zwracał na nas uwagi i wyglądał jak gdyby go nic na świecie nie obchodziło. Julek pierwszy przemówił, nie wiem czy dla tego że był odważniejszy, czy że się mniej zmęczył biegiem.

— Niech go pan nie każe karać, to nie on rozbił okno!

Chłopcy przestali szeptać i utkwili w nas oczy. Pan Campbell, który nas znał z widzenia, bo nieraz przychodził na fermę, zawołał nas do siebie i głosem łagodnym ale stanowczym kazał sobie opowiedzieć całe przejście. Mówiliśmy obaj razem, z czego powstała taka mieszana dzwonoń, kawek, gniazd, szyb rozbitych, że proboszcz z początku nie mógł zrozumieć, ale powoli o wszystkim się dowiedział.

— Czy pan każe nam jeszcze powiedzieć nazwisko chłopca, który był z nami? — zapytałem — bo my nie chcielibyśmy go zdradzać.

Pan Campbell spojrział na nas poważnie.

— Dlaczego on tu z wami nie przyszedł?

— Bo nie wiedział, że idziemy do pana.

— Czy on jest w szkole?

— Nie, panie.

— Nie będę już was pytał o jego nazwisko, ale to wam powiem, że towarzystwo takiego chłopca jak on, zupełnie jest dla was niestosowne.

Ben Dawis stał ciągle przed katedrą i niewiedział co z sobą zrobić, ale to wiedział, że się prawda wykryła i że go bić nie będą. Pan Campbell zbliżył się do niego i położył mu rękę na ramieniu, a Ben podniósł głowę i spokojnie patrzył po otaczających.

— Benie Davis — rzekł proboszcz — cieszę się, że cię mogę teraz uścisnąć i powiedzieć jak mi jest przykro, że ci nie uwierzył.

Ben poczerwieniał ze wzruszenia i oczy mu łzami zaszyły; kiedy kapłan przestał mówić, uczniowie podnieśli taki okrzyk radości, że się aż szyby trzęsły, a nauczyciel nie starał się go nawet uciszyć. Potem pan Campbell wszedł na katedrę i w kilku prostych słowach powtórzył jeszcze raz, to co Benowi mówił:

— Tomek i Julek zapewnili mię — rzekł nakoniec — że chętnie poniosą karę, jaką będę uważał za właściwą, ale ponieważ Ben Dawis z ich powodu został niesłusznie oskarżony, więc należy żeby on sam tę karę naznaczył.

Ale Ben płakał jak małe dziecko i nie mógł ani słowa wymówić, tylko łkał bez ustanku i tarł oczy pięściami.

Pan Campbell zwrócił się do uczniów i rzekł:

— No, chłopcy, widzicie, Dawis nie może mi odpowiedzieć, wy musicie go zastąpić. Na cóż ich obu skazujecie?

Chłopcy zaczęli śmiać się i mówić między sobą, ale narada do niczego nie doprowadziła i pan Campbell powiedział:

— Ech! mnie się zdaje, że wy nie mielibyście nic przeciwko temu, żeby Tomek i Julek wyprosili u pana Raymonda na dziś dla was rekreacyą?

Chłopcy za całą odpowiedź zaczęli tak krzyczeć i śmiać się z radości, że mogliśmy tylko gestami prosić pana Raymonda o rekreacyą, a on nam w ten sam sposób odpowiedział, że się zgadza i w jednej chwili chłopcy poprzeskakiwali ławki i wybiegli na podwórze. W klasie my tylko zostaliśmy żeby przeprosić Bena iż z naszej winy miał tak wielką przykrość.

Pan Campbell zaprosił nas do siebie, ale ja miałem na myśli coś takiego, czego nie należało odkładać, bo wiedziałem że mi później chęci i odwagi zabraknie.

Chciałem powiedzieć panu Morris, dla czego to nas szpak ponosił, a zachęcił mię do tego wyznania widok Bena i jego radość, przytem pragnąłem się pozbyć nieznosnych myśli, które mię od pewnego czasu nieustannie trapiły, chociaż się nawet samemu sobie nie przyznawałem. Więc powiedziałem proboszczowi, że mamy zamiar odwiedzić pułkownika Morrisa, i poszliśmy z nim razem aż do kościoła, gdzie się nasze drogi dzieliły. Przechożąc pod oknem pokazaliśmy mu w jaki sposób przeciwnieśliśmy się przez kraty.

— Dziś jeszcze — rzekł pan Campbell, każe wstać gęściejsze kraty, bo jeżeli wam się udało przez nie prześliznąć, to złodzieje niedługo tę drogę odkryją.

Żegnając się z nami powiedział: 'Wszystkim chłopcom zdarzają się podobne wypadki, ale jeżeli zawsze prawdę mówią, to można mieć nadzieję, że wyrosną na uczciwych ludzi.

(d. c. n.)

HOMONIM.

Jestem ptakiem wysokim, przewyższam bociana.
Ma piękna, wzniosła postać dobrze wszystkim znana.
Na wsi znowu pracuję dla ludzkiej wygody,
Bo wciąż wyciągam wiadra pełne wody.

NITECZKA ARYADNY.

Jaś	póź	no	ły	Staś
wsta	je	coś	so	chęt
szko	do	nie	we	nie
ły	dzie	i	no	ra

ROZWIĄZANIA DO N-ru 11-go.

Szarady: Pa — ryż.

Kwadratu magicznego: r o s a
o w o c
s o w a
a c a n

Skrzynka do listów.

Nie wiedzieliśmy dotąd, że Pawie Piórka są tak ciekawe! Odpowiedź na pytanie znajdziesz w numerze 11-ym.

Kochana Jaskółko z nad Dniepru, nie zdradzamy pseudonymów, trzymając się w tem zwyczaju pilnie przestrzeganego przez nas oddawna.

Jakże nam miło otrzymać odezwę od dawnej a tak nam miłej korespondentki, jak sędziwa Gałazka ostu! Miło nam także dowiedzieć się szczegółów o grzecznych i pilnych siostrzyczkach i nie tracimy nadziei, że z czasem odważą się napisać do nas. Starsza siostra powinna je do tego zachęcić. Serdecznie dziękujemy za pamięć i umiemy cenić tę życzliwość młodych serduszek, której tak wiele mamy dowodów.

Wafndzia, Mania i Kazio otrzymają żądane numera. Redakcja zawsze je wysyła akuratnie, nie jej to więc wina, jeżeli w drodze zginą.

Tę samą odpowiedź zechce zastosować do siebie p. Pias., której posyłamy je powtórnie.

Fiołkowi parmeńskiemu i Konwalijsce ogrodowej, polecić możemy: „Teatrzyk amatorski przez M...a oraz „Trójlistek”. Na początku roku zeszłego pisemko nasze drukowało komedię pióra znanej i cenionej powszechnie autorki, S. Duchinińskiej; zdaje

nam się że wdzięczny ten utwór będzie odpowiadał wymaganym warunkom.

Koehane: Jagódko z pod Arkadyi, Słowiczku z nad Łubiany i Pieszcotko mamy, żądaniu waszemu nie możemy uczynić zadość dla braku miejsca, jak to już nieraz powtarzamy wszystkim, którzy się z podobnym żądaniem w ostatnich czasach do nas zwracali. Może zechcecie nadal korespondować z Gołąbką, Jaskółką lub Józkiem, bo ci w Redakcyi listy wasze czytać mogą i zawsze na nie odpowiadają.

Cieszymy się Benjaminku drogi, że już przyszedłeś do zdrowia i mamy nadzieję że potrafiśz być posłusznym, rozsądnym i zastosujesz się do rad mających na celu uniknięcie przeziębnienia po odrze. Nadesłane nam próbki kaligrafii niedługo przegłądać będziemy. Kto powiedział, że dobra pani nie pozwoli z sobą korespondować? Ależ i owszem! Równie jak Gołąbka, Jaskółka i Józio, jest ona zawsze gotowa odpowiadać na listy kochanych naszych korespondentów.

Sosenko lubelska, przeczytaj odpowiedź daną Pawiemu piórku. Liścikami swojemi nigdy nam się nie naprzykrzacie, dzieci drogie.

Geniowi Dł. wysyłamy żądany numer. W redakcyi pisma, o którym mowa, obiecano sprawdzić. Redakcyja zaś zawsze „pozwolenie” swoje powtarza i prosi kochanych czytelników aby udawali się do niej z całą ufnością.

Nadesłali nam rozwiązania i łamigłówniki: M. Paż, Paż królowej, J. Dziec., Jaśko Warszawiak, Puszczyk leśny, Teofila i Miunia Kl. z K. oraz Zofia St. Rozwiązania są dobre, łamigłówniki zaś potrzebują poprawy. Między innymi Puszczyk leśny popełnia grubą błąd ortograficzny, pisząc „urzywamy”, błąd w określeniu wyrazu pisząc „roślina jadalna”. O ile wiemy, nasienie tylko służy do jedzenia. Jaśko Warszawiak niewłaściwą pisze ortografią nazwisko słynnego wodza greckiego, „ti” zupełnie tam niepotrzebne, również jak i w wyrazie drugim h, które wszakże pozostawić trzeba... dla symetrii.

Zielona gałazko, kto chce przysyłać rebusy do druku, powinien przedewszystkiem dobrze umieć rysować. Nietylko o pomysł, chodzi nam także o umiejętne wykonanie rebusa bez czego zużytkować go nie można.

Kochany Czupurny Koguciku! „Do własnych rąk”, jak tego pragnąłeś, odebrałam twój miły liścik. Ma się rozumieć, że „pozwalam” na obrany przez ciebie pseudonym. Coś mi się zdaje, że musi być stosowny dla ciebie! Nie obawiaj się, nie jesteś zbyt stary, a zdaje mi się, że napisać musiałeś nieźle, i o to więc nie masz potrzeby się obawiać. Tamten pseudonym był ładniejszy, ale z wielu względów niemożliwy. Za przesłane pocałunki dziękuję ci, Koguciku, równie serdecznie, jak dziękuję nieznannej jeszcze siostrzyczce Gosposi z W. za jej miłą odezwę. I ciebie i siostrzyczkę twą, Myszkę Lizetkę z radością zaliczam do grona stałych korespondentek. Ma się rozumieć, że Myszka należeć jeszcze może do konkursu kaligrafii. Pseudonym twój Zosiu B. nie jest właściwie pseudonymem t. j. przybranem nazwiskiem. Wszystkie mogłybyśmy się nim posługiwać, dla czegoż ty jedna masz być jego wyłączną posiadaczką? Nazwij się może Koleżanką — dobrze? Szatynko z nad N., chwali ci się to bardzo, że takie dobre miewasz myśli! W istocie, dla czegożbyś nie miała mieć tej odwagi, której nie brak tylu innym, np. o rok młodszej od ciebie, Pojacie. „Szanowną” mię nazywasz, uważając mię już widać za bardzo szdwiągą. W istocie, jestem nią; kilka lat już mija od czasu kiedy skończywszy lat 15, przeszłam do rzędu staruszek. Łamigłówniki, Pojato, nie do mnie należą, ale twoje oddam we właściwe ręce. Do konkursu należeć możecie i ty, i Rzepicha, której zagadka, chociaż dobra, nie może być drukowaną. Gdyby to odemnie jedynie zależało, nie wiem czybym się zdobyła na odmowną odpowiedź, bo zawsze zarzucają mi w Redakcyi, że jestem dla was za słabą, że was psuje i t. d. Poprawiłabym się może, ale powiem wam pod sekretem, że Redakcyja nie a nie lepsza odemnie. Pozostanę więc taką jaką byłam, zawsze was kochająca

Gołąbka.